



SIOSTRA CATHERINE

Opowieść  
górskiej  
eremitki

w|drodze  


SIOSTRA CATHERINE

# Opowieść górskiej eremitki

Przełożył Paweł Borkowski

Tytuł oryginału

*Récits d'une ermite de montagne*

© 2019, Les éditions du Relié, une marque du groupe Guy Trédaniel  
27, rue des Grands Augustins, 75006 Paris

© Translation rights arranged through Cristina Prepelita Chiarasini,  
Agence CGR

© Copyright for this edition by Wydawnictwo W drodze, 2026

Redaktor inicjujący – PAWEŁ DĄBROWSKI OP

Redaktorka prowadząca – JUSTYNA OLSZEWSKA

Redakcja – KATARZYNA KOŚMICKA

Korekta – AGNIESZKA CZAPCZYK, KATARZYNA KOŚMICKA

Redakcja techniczna – JÓZEFA KURPISZ

Projekt okładki, layoutu i skład– KRZYSZTOF LORCZYK OP

ISBN 978-83-7906-896-8 (wersja drukowana)

ISBN 978-83-7906-897-5 (wersja elektroniczna)

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.

Wydanie 1

ul. Kościuszki 99, 61-716 Poznań

tel. 61 850 47 52

[sprzedaz@wdrodze.pl](mailto:sprzedaz@wdrodze.pl)

[www.wdrodze.pl](http://www.wdrodze.pl)

# SPIS TREŚCI

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wezwanie

— 5 —

## ROZDZIAŁ DRUGI

Zimowy poranek

— 29 —

## ROZDZIAŁ TRZECI

Praca

— 49 —

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Odnawianie sił

— 81 —

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Samotność i wspólnota

— 107 —

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dzikie zwierzęta

— 137 —

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Czystość

— 155 —

**ROZDZIAŁ ÓSMY**

Parę historii z życia

— 175 —

Wielka susza

— 175 —

Prace na linie

— 182 —

Wspinaczka w stanie łaski

— 188 —

Rok ciężkiej pracy

— 195 —

Zima w białym płaszczu

— 200 —

**ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Kuszenie na pustyni

— 207 —

## ROZDZIAŁ CZWARTY ODNAWIANIE SIŁ

Modlitwa i praca zajmują większość czasu, ale trzeba też odnawiać siły. Życie pustelnicze na łonie przyrody nie oszczędza, zmuszając do przekraczania własnych ograniczeń. Oczywiście chodzi w nim o bezwarunkowe oddanie się na służbę Bogu, nawet gdyby pociągało to za sobą ryzyko utraty życia dla Niego. Nie należy jednak trwonić życia na lekkomyślne poczynania.



Regeneracji sił służą konieczna odmiana, dostateczna różnorodność, a przede wszystkim przerwanie długotrwałego wysiłku, napięcia, skupienia koniecznego do pracy lub aktywności ponad miarę. W klasztorze bardzo „szkolna” wydawała mi się nazwa „rekreacja”, którą określano chwile wspólnego odpoczynku po obiedzie. Zwrócono mi uwagę, że słowo to pochodzi od łacińskiego czasownika *re-creare* – „stworzyć na nowo, przywrócić do życia” – który nabiera pełnego znaczenia w kontekście religijnym.

To oznaczało nie tyle rozrywkę lub odpoczynek po normalnym zmęczeniu na skutek wysiłku i pracy, ile wewnętrzną odnowę. Chodzi zatem o odzyskanie pierwotnego zapału i poddanie się przemianie w duchu rozwoju, po to aby swoją motywację potwierdzić bądź skorygować na podstawie zdobytego doświadczenia.

W istocie na tej górze, chociaż daje się odczuć móżól pracy, dodatkowo obciążony nader surowymi warunkami bytowania, zgoła nie istnieje powszednia monotonia. Urozmaicenie stanowi część codzienności, dlatego przez

dziesięć lat nie czułam potrzeby wyjazdu ani przeznaczenia czasu na wypoczynek. Należy przyznać, że dużą w tym rolę odgrywa urok miejsca pomimo trudów życia. Każda pora roku niesie własne piękno, największym zaś urokiem odznaczają się jesień i zima.

Naturalnie wiosna ze swoim kwieciami to wspinała pora roku, długo wyczekiwana po zimowych utrudnieniach. Niemniej spóźnione uderzenia mrozu i opady śniegu zdarzające się aż do maja nie sprawiają, że na tej górze wiosna staje się łagodnym, kojącym okresem; w tym czasie często przechodzą gwałtowne burze i gradobicia. Z kolei latem źródło daje mniej wody, a niekiedy wręcz wysycha. Nie, bezdyskusyjnie najbardziej „rekreacyjną” porą roku jest jesień: góra płonie barwami od jaskrawej żółci po czerwień sumaków, przechodząc przez wszystkie odcienie pomarańcza klonów, poprzetykanego ognistą rudością buków. Całe to piękno pomaga człowiekowi odnaleźć sens egzystencji ofiarowanej Bogu, ilekroć ogarnia go nadmierne znużenie.

Mimo wszystko wypada dopowiedzieć, że osoby, które wędrują po górach lub odpoczywają na łonie przyrody, przejawiają niefortunną skłonność do przypisywania żyjącym tu ludziom swoich skojarzeń i wyobrażeń związanych z wolnym czasem, które nieodwracalnie wraziły im się w umysł. Wszelako życie pozbawione wygód – brak wody i elektryczności, poruszanie się wyłącznie piechotą – nie pozwala na swobodne gospodarowanie czasem. W lecie, kiedy ze źródła kapie kropla po kropli, napełnienie butli wodą może zabrać czterdzieści minut, nie licząc drogi.

Czyszczenie świeczników i lamp naftowych wymaga takiej ilości czasu, o jakiej nie mają pojęcia ludzie używający oświetlenia elektrycznego.

Na tej górze nauczyłam się odnawiać swoje siły, podejmując na zmianę wysiłek różnego rodzaju. Jeżeli kolejno zajmuję się wodą, praniem i noszeniem, to ulegam wyczerpaniu; jeżeli natomiast zamieniam i przeplatam te trudy z szyciem, pisaniem listów lub czyszczeniem lamp, pod koniec dnia nie ogarnia mnie zmęczenie. Organizując sobie w ten sposób dzień, następnie tydzień, miesiące i lata, człowiek poznaje równowagę ogólnoludzką i swoją własną; pojmuje do głębi, co jest ludzkie, a co nie, co odczłowiecza albo przeciwnie – buduje, wzmacnia z każdym kolejnym dniem. Odkryłam nawet sztukę życia, która mi przywróciła jego umiłowanie. Mogłam też dopomóc kilku osobom, które utraciły równowagę i kontrolę wskutek nierozpoznania swoich prawdziwych potrzeb, przytłumionych pod naciskiem współczesnego stylu życia.



Na tej górze praca i względne odprężenie mogą się zatem ściśle splecać. Wracając do piękna przyrody: ono z pewnością pomaga, przede wszystkim jednak moralnie, wewnętrznie. Zwłaszcza w przygnębieniu, spowodowanym po trosze dzikością miejsca, a głównie powierzonymi nietypowymi intencjami modlitewnymi, można zaznać ulgi dzięki temu górskiemu pięknu. Pomaga ono zwrócić się ponownie ku pięknu Boga, ku wspaniałości Jego

zamysłów. Na końcu to Jego piękno pochłonie wszelką szpetotę i grozę, a Jego miłość zatryumfuje.

Tutaj pięknie wygląda nawet deszcz, zaciągający czarowne welony mgły, parne kotary w subtelnych odcieniach. Po deszczu oświetlona słońcem pustelnia niekiedy unosi się ponad oceanem opalizujących chmur, które pokrywają dolinę.

Podziwiam ten cud przez pewien czas, zanim pokrzepiona wróćę do swoich zajęć, do codzienności. Deszcz przynosi nie tylko zjawiska estetyczne, lecz także wielkie, upragnione dobrodziejstwo. Chcąc ograniczyć swoje przemieszczanie się po górach, staram się gromadzić deszczówkę do prania. Nie jest to błahe przedsięwzięcie. Na początku trzeba było postawić dwustulitrowe beczki, z których dwie pierwsze przywieźli na osłach znajomi. W późniejszych latach sama przyniosłam na plecach (co za wyprawa!) kilka beczek, gdyż po pewnym czasie pękały wskutek dużych zmian temperatury. Ażeby urządzić pranie, nie wystarcza drobny, nawet długotrwały deszczyk: potrzeba prawdziwej ulewy, choćby krótkiej, która najpierw zmyje z dachu wszelakie resztki i osady naniesione przez wiatr i zwierzęta. Należy zatem wyczekać chwili, aż dach się oczyści, i wtedy można gromadzić świeżą wodę. Pierwszą jej partię przeznaczam na opłukanie beczek i wiader, co siłą rzeczy odbywa się w deszczu. Dopiero wtedy mogę ustawić naczynia na zebranie wody. Przenoszę ją porcjami do beczek magazynowych stojących na małym tarasie w dole, zabezpieczonym od wiatru z północy. Mozolna to praca,

która jednak oszczędza moje nogi, odciążając je od chodzenia do źródła.

Na tym sprawa się nie kończy. Ażeby się dostać na dolny taras, korzystałam z wąskiej, stosunkowo łatwo dostępnej półki skalnej. Pomału jednak rozsadził ją krzew wyrastający z podłoża: dzień po dniu obserwowałam, jak potężny blok coraz niebezpieczniej oddziela się od skały. Trzeba było porzucić ten szlak i znaleźć jakiś inny... To jakieś trzy metry schodzenia<sup>1</sup> po skałach, co nawet z użyciem liny nie zmniejsza ciężaru tobołów z praniem lub różnych przyborów.

Na tym wciąż jeszcze nie koniec. Kiedy się przybywa do dziczy, nic nie nadaje się do potrzeb człowieka. Niezbędne miejsce trzeba sobie oczyścić, wyrównać, zagospodarować; dotyczy to nawet minimum bytowego o najwyższym stopniu niedogodności. Jeżeli chodzi o pranie, to aby nie psuć sobie pleców pochylaniem się nad baliami stojącymi na ziemi, musiałam sporządzić jakby stoły z kamieni do pracy na odpowiedniej wysokości. Ta wstępna, ciężka praca fizyczna powtarza się regularnie, ponieważ kamienie się obsuwają pod działaniem atmosfery i ciężarem wypełnionych cebrzyków.

Jak widać, zaopatrywanie się w wodę i urządzenie prania to czynności wymagające, mozolne. Moje elementarne

---

<sup>1</sup> Autorka pisze o pokonywaniu drogi alpinistycznej z góry na dół (franc. *désescalade*), które w języku polskim określa się z rzadka za pomocą środowiskowego neologizmu „zspinaczka”, oznaczającego przeciwieństwo wspinaczki – przyp. tłum.

wyposażenie nie dorównuje jakością nawet biwakowi. Przyjmuję to jednak z głębokim zadowoleniem w duchu całkowitej ofiary z siebie, w postawie solidarności z sytuacją życiową ludzi, do których nie można by dołączyć w inny sposób – a nadto ze świadomością, że zostaje się wysłuchanym, albowiem moja modlitwa angażuje moje uczynki, moje ciało, nie tylko moje dobre intencje. Od czasu do czasu Bóg wysłuchuje mnie cudownie, podsycając mój zapał, aby nie wygasł w ciągu zwyczajnych lat, w których znikają wyjątkowe interwencje. Zdumienie tym działaniem wśród piękna przyrody podtrzymywało mnie przez dziesięć lat. Później, z racji wieku i zmęczenia, trzeba było planować pobyty wypoczynkowe poza eremem.

Na miejscu wszakże zachodzą też zmiany w faunie i florze. Kwiaty nie odradzają się w jednakowej postaci z roku na rok. Owszem, w większości wypadków tak się dzieje, ale całość podlega swego rodzaju odnowie w trzy-, czteroletnim cyklu. A więc znów niespodzianka, zadziwienie. Podobnie w świecie zwierząt: Stwórca aranżuje spotkania z wiewiórkami, dzięciołami, borsukami, kozicami, kukułkami, orłami, motylami, sarnami, ważkami... tak wiele chwil przerwy, które przyjmuję z wdzięcznością i które oczywiście przynoszą mi potrzebne odprężenie. Przyroda mnie oswoiła: nauczyła cieszyć się momentami rozluźnienia, kiedy nadchodzą, baczyć na niespodziewane, otwarcie przyjmować nieoczekiwane, włączać się w rytm odmienny od wyznaczonego przez ustalenia i przewidywania poczęte w moim umyśle. Wszystko to wymaga

natężonej uwagi – nie można jej wyłączyć nawet na chwilę. Nasuwa się pytanie, jak to możliwe: w jaki sposób rozluźnienie może iść w parze z ustawicznym napięciem uwagi? Na tym polega urok życia poza cywilizacją, co dobrze zilustrują dwa przykłady.

Znużona ciągłym schodzeniem tą samą ścieżką, postanowiłam dla urozmaicenia skorzystać z innej, choć dłuższej. Poprzedniego dnia padał obfity deszcz i znów pokazało się słońce, lecz od czasu do czasu przesuwały się nisko gęste chmury. Nie znałam dobrze tej części gór, nie należało jednak zakładać żadnego niebezpieczeństwa. Podążałam przed siebie wzdłuż grzbietu z zachwytem i wdzięcznością. Wtem przybliżyła się do mnie nisko zawieszona, bardzo zwarta chmura. Zdawałam sobie sprawę z tego, że chyba rozsądniej byłoby przystanąć i poczekać, aż ona przejdzie, zamiast kontynuować marsz w gęstej mgle, nie widząc nic poza swoimi stopami. Droga wszakże wiodła prosto jak po sznurku i nic mi nie groziło. Przez pewien czas stawiałam więc jedną nogę przed drugą, ufając, że nie zbaczam ze szlaku. Zatrzymał mnie lekki niepokój: powinnam iść trochę pod górę, a nie w dół jak teraz... Zdecydowałam się poczekać na ustąpienie mgły, aby się rozejrzeć. Spotkało mnie zaskoczenie! Tak bardzo zboczyłam w lewo, że brakowało trzydziestu centymetrów, a spadłabym z urwiska; nigdy by mnie nie odnaleziono. Wędrować w takiej niskiej, gęstej chmurze to jak kroczyć z przewiązanymi oczyma – człowiek traci orientację w terenie. Ktoś zapyta: jak można zapomnieć, że stąpa się w pobliżu urwiska?

Otóż chatka stoi na krawędzi urwiska, grotka wisi nad urwiskiem, krótko mówiąc – wszędzie jest jakieś urwisko. Fakt ten należy do mojej codzienności i całkowicie do niego przywykłam.

Innym razem, gdy wracałam z zakupami, postanowiłam wpięć zjeść obiad nad potokiem, a następnie wejść na górę. Rozłożyłam się więc na płaskim kamieniu tuż nad wodą, w pięknym, choć trochę wietrznym miejscu. Potem oddaliłam się kawałek, aby umyć sztućce tam, gdzie łatwiej było zejść do wody. Wtem usłyszałam przeciągły, złowieszczy trzask: na to miejsce, które właśnie opuściłam, runęło drzewo, chociaż nie wyglądało na bardziej wyschnięte od pozostałych.

Z początku takie rzeczy dziwią, a później człowiek się przyzwyczaja. Tego rodzaju wypadków przytrafiały mi się dziesiątki. Raz o niespełna metr minęło mnie wielkie osuwisko, co skwitowałam uwagą: „Znowu pudło”. (W wielkiej samotności człowiek rozmawia, z kim tylko może...)



Kiedy wygasły emocje, zastąpiła je ufność w Bożą opiekę. Właśnie to zaufanie owocuje prawdziwym rozluźnieniem. Incydenty takie jak wyżej opisane uczą w pełni doceniać każdą chwilę taką, jaka trwa, ponieważ następna może się okazać całkiem inna – oraz szybko przechodzić dalej krokiem jednocześnie swobodnym i ostrożnym...

Widać, że życie wśród dzikiej przyrody nie pozwala na sielankowe lenistwo; zresztą stałe tu przebywanie

na jej warunkach różni się znacznie od sporadycznych wycieczek w plener. Nasze środowisko życiowe przenika nas i kształtuje, głęboko na nas oddziałując. Przyroda używa sekretnego języka, który daje się poznać tylko w dłuższym okresie, w ciągłości, ale też w poszanowaniu. Jeżeli człowiek pracuje i śpi w otoczeniu przyrody, ciągle się pośród niej przemieszcza, dba o nią i zdaje się na nią, to w końcu dostrzega w niej nierozzerwalną, spoiłą całość, w którą pozostaje włączony jako jedna cząstka pomiędzy wieloma. Góry, przyroda niezauważalnie zostają pojęte jako zestrój równocześnie swojski i tajemniczy, bliski, acz dostępny tylko temu, kto obserwuje, przysłuchuje się w milczeniu i zdobywa doświadczenie naznaczone trwałością i ciągłością.



Pamiętam, jak któregoś razu, znużona niezmiennym schodzeniem po zboczu północnym, wybrałam się stokiem południowym mimo dwukrotnie dłuższej drogi. Wiodło tamtędy długie przejście po półce skalnej – wąska, usiana zakosami ścieżka, zwieszająca się nad pobrużdżoną stromizną. Na jednym z zakrętów natknęłam się na stado kozic, które zerwały się do biegu i rozsypały wokół mnie; jako że nie mogły ode mnie uciec przez stromiznę, w biegu i podskokach przez dwadzieścia minut pokonywałyśmy razem przejście. Cóż to za cud! Takie właśnie fenomenalne doświadczenia zjednały mnie dla delikatnego życia

w trudnej równowadze pośrodku dzikiej natury bez sieci zabezpieczeń.



Nastąpił jednak ciąg dalszy! Sądziłam, że zwierzęta biegnę przy mnie wzdłuż całej półki skalnej dlatego, iż nie zdołałyby pokonać pobrużdżonej stromizny. W pewien sposób tolerowały mnie na skutek „trafu” naszego spotkania. Jakież zdziwienie mnie ogarnęło, gdy znacznie później zakłóciłam spokój kozicy stojącej samotnie nad krawędzią pionowej ściany. Ujrzałam, jak momentalnie zeskakuje w urwisko; usłyszałam serię ostrych, wyraźnych uderzeń o skałę, które stopniowo ucichły, a po nich zapadła cisza. Nie wierzyłam własnym oczom: ściana wznosiła się pionowo mniej więcej na dwadzieścia metrów, a powierzchnię miała dość gładką, na pewno wilgotną i śliską (ekspozycja północna). Mimo to kozica zeskoczyła po niej lekkimi, precyzyjnymi ruchami. Należało z tego faktu wnosić, że podczas schodzenia południowym zboczem zwierzęta towarzyszyły mi bez przymusu, mogły bowiem z łatwością przesadzić pooraną bruzdami stromiznę...

W przekonaniu tym utwierdziło mnie inne, trochę późniejsze spotkanie. Pnąc się pod górę z ładunkiem zapasów po tym samym, południowym stoku, natknęłam się na duże stado kozic – kilkanaście sztuk w różnym wieku – w miejscu, którego nie mogłam ominąć. To ja nie potrafiłabym pokonać skał poprzecinanych bruzdami, tak aby nie przeszkadzać dzikim zwierzętom! Złożyłam

swój bagaż na ziemi i przypatrywałam im się z podziwem. Żadna z kozic nie zmieniła swojej początkowej pozycji. Uważnie śledziły każdy mój ruch, a niektóre jednocześnie przeżuwały. Te, które odpoczywały na ziemi, nawet się nie podniosły, tylko odwróciły łby. Klęcząca kozica przedstawia sobą szczególnie wzruszający widok, jakby obraz niewinności – drobny przebłysk rajy sprzed upadku.

Nie wiedziałam, jak się zachować, a nie mogłam zanadto zwlekać, gdyż dzień chylił się ku wieczorowi. Postanowiłam więc ruszyć pomalutku dalej i spróbować przejść pośrodku stada. Tak też uczyniłam, zwierzęta zaś nie okazały nawet najmniejszego przestachu, chociaż niektóre z nich mijałam naprawdę w bezpośredniej bliskości. W rzeczy samej uświadomiłam sobie, że uprzednio podjęły zbiorową inicjatywę, aby mnie oczekiwać na szlaku mojego powrotu; ponadto zauważyłam, że skoro pozwoliły mi przejść przez środek swojego stada, to znaczy, że mnie przyjęły i adoptowały. Dziwne to wrażenie – zostać dołączonym do grupy przez dzikie stworzenia. Te skoczne istoty, które pędzą niczym rakietą, zmieniły się w łagodne strażniki ufności: stojące zwierzęta jako łagodni świadkowie cichego planu Boga na życie ukryte w tych górach. Owo spotkanie natchnęło mnie nadzieją na kolejne.

Myśli ludzkie wszelako nie pokrywają się z Bożymi. Dłuższy czas potem usłyszałam donośną kanonadę z tamtego rejonu: padło kilkadziesiąt wystrzałów ze strzelb. Zazwyczaj dają się słyszeć pojedyncze strzały tu i ówdzie, niekiedy powtórzone – nic więcej. Tym razem

ich umiejscowienie (dochodziły z małego kotła między potokiem wrzynającym się w skały a urwiskiem, gdzie lubiły przebywać kozice) nie pozostawiało wątpliwości: tarczą strzelecką stały się moje zaprzyjaźnione zwierzęta.



Zmęczenie, zniechęcenie. Piszę o tym dla ukazania, że góry to nie tylko piękno, a przyroda nie jest chronionym rajem. To, co z początku przynosi ulgę, może nabrać smaku goryczy. Właśnie ta gorycz pozwala mi jednak solidaryzować się z losami ludzi dotkniętych żałobą lub zagrożonych zagładą; modłę się za nich, w głębi ducha wiedząc, że zostają wysłuchana. W tym celu nie trzeba przebywać pośrodku społeczeństwa z jego popędami i przebiegłymi kalkulacjami. Nie należę do elity, która staje z boku, aby uniknąć trosk przygniatających inne osoby; uprawiać kontemplację to nie znaczy stawiać się ponad innymi, spoglądać na nich z góry i delektować się niezmaconym spokojem zastrzeżonym dla uprzywilejowanych. Zresztą prawdziwą kontemplację można też prowadzić w sercu świata. Kontemplować bowiem to patrzeć poza widzialne, widzieć w Bogu. Nie, takie rzeczywiste, długotrwałe i jak najbardziej konkretne wycofanie się ze świata pozwoliło mi uchwycić coś z czystego zamysłu Boga bez wielkiego porywu, w mowie serca cichej i tym bardziej przejmującej – jak gdyby Bóg się powierzał.

Tak jakby okropieństwo podeptania Jego planu dobroczynnej miłości podlegało złągodzeniu w Jego sercu dzięki

życiu tych, którzy zrozumieli wszystkie następstwa katastrofy i w milczeniu cierpią z Nim razem, a równocześnie modlą się o opamiętanie dla innych. To nie jest pokusa raju, lecz kontemplacja zanurzona w rzeczywistości. Wycofanie się ku samemu Bogu nie równa się ucieczce od różnych przeciwności, lecz powrotowi do niezakłóconego życia z Bogiem, tak jak zostaliśmy do tego zaproszeni w Jego początkowym planie i jak zostaniemy zaproszeni po śmierci, jeśli okażemy się zdolni do wyboru. Może eremita świadczy sobą o tej nieustającej więzi odnajdowanej w takim życiu z Bogiem oraz o tym, co stanie się naszym wiecznym, pełnym udziałem w Bogu. W efekcie kontrast nabiera siły, ostrości, dlatego trudniej go znieść, kiedy człowiek się wycofa, aniżeli przedtem. Łatwiej bowiem przychodzi ocenić zakres szkód, uszczerbku dla Bożych zamysłów; inaczej natomiast, kiedy pozostaje się bez reszty zanurzonym w życiu społecznym i przekonanym o swojej racji, za którą przemawiają liczba, zwyczaj i poczucie bezpieczeństwa. Na początkowym etapie długotrwałe wycofanie się ze świata uwrażliwia, a dopiero później przebudowuje i umacnia.

Wracając do przyrody: ona nie stanowi li tylko dekoracji, lecz spójną, zrównoważoną całość, której wewnętrzne powiązania trudno zrozumieć bez elementarnego szacunku – a także środowisko, które pozwala odnaleźć właściwe nam miejsce i naszą własną równowagę, ukojenie.



Wycofanie się ze społeczeństwa w celu przebywania wśród przyrody nie oznacza ani zrzucenia z siebie odpowiedzialności, ani ucieczki, ani też ustąpienia pokusie powrotu do raju bądź do przeszłości. Owszem, postawę taką przejawia znacznie więcej ludzi żyjących w sercu miasta, którzy oddają się w niewolę zdobywcy cywilizacji i współczesnych udogodnień, korzystają z nich wyłącznie dla siebie, domagają się coraz większego spokoju i bezpieczeństwa, podporządkowują społeczeństwo własnym interesom, nie dbając o konsekwencje, i manipulują innymi, grając na ich poczuciu własnej wartości i kompetencji. Spokojnie potwierdzają własnym, konsekwentnym życiem wbrew duchowi epoki, że można żyć dobrze na ziemi w spokoju i bez ostentacyjnej zamożności, solidaryzując się z ogromną większością biednych rozproszonych po całym świecie – to nie znaczy ulegać pokusie; przeciwnie – to znaczy ukazywać, że człowiek pozostaje w pełni człowiekiem wtedy, gdy nie żyje w opozycji do swojego środowiska i reszty ludzkości: „Księga natury jest jedna i niepodzielna”<sup>2</sup>. Zakorzenie się w naturze na przekór i wbrew wszystkiemu może się stać aktem pokojowego oporu, służącym poświadczeniu, że wiara w niezależność od natury oraz jej niszczenie prowadzą do dehumanizacji.

Jak widać, skromny rozdział na temat odpoczynku może pomieścić całkiem poważne refleksje... Ostatecznie

---

<sup>2</sup> Benedykt XVI, *Encyklika „Caritas in veritate” o integralnym rozwoju ludzkim w miłości i prawdzie*, 29 czerwca 2009, 51, „L’Osservatore Romano”, wyd. polskie, 2009, nr 9, s. 23.

wytchnienia i rozluźnienia nie zapewnia jedna chwila ani cała seria pustych rozrywek. Oczywiście odrobina lekkości, swobody jest konieczna dla odprężenia i oddramatyzowania; oczywiście nieco błahości, dobrego humoru, oderwania jest konieczne do tego, żeby nie popaść w napuszoną zręczliwość. „Łuk stale napięty w końcu pęknie”, jak mawiają kartuzi. Odpoczynek nie świadczy o słabości, lecz o człowieczeństwie i wrażliwości. Różnica między pustą rozrywką a prawdziwym, koniecznym wytchnieniem polega zaś na tym, że ono nadaje nową dynamikę, przywraca siły oraz pozwala wrócić do swoich zadań i obowiązków z większą werwą, motywacją i świadomością; tymczasem rozrywka od nich oddala i odwraca. Prawdziwy odpoczynek inspiruje, podczas gdy rozrywka jedynie wzmacnia chęć do dalszej zabawy. Poszukiwanie coraz świeższych i intensywniejszych doznań nigdy się nie kończy i nigdy nie zaspokaja. Natomiast zaangażowanie, bezwarunkowe poświęcenie się Bogu aż do pewnego przekroczenia siebie, aż po akceptację wielorakiego ryzyka i niewiadomego, przynosi pełnię szczęścia, w której niepokój właściwy istocie ludzkiej wreszcie zostaje ukojony.

Dar z siebie owocuje bowiem nie tylko odpocznieniem w naszym najgłębszym niepokoju, lecz także odrodzeniem. Prowadzi on do pewnego przekroczenia siebie, swoich ludzkich sił i obaw; św. Teresa z Ávili nazywała to „ryzykowaniem życia”. Narażać życie – w tym zawiera się wszystko... Pułapka języka i przekładów sprawia, że dzisiaj zatarało się źródłowe znaczenie owego zwrotu. Sądzono

nawet, że św. Teresa przejawiała nowoczesną skłonność do szukania przygód, co bynajmniej nie odpowiada prawdzie. Tłumaczyła to następująco:

Och, wielka wolności, którą jest uznawanie za niewolę życia i przestawania z innymi zgodnie z prawami tego świata! Albowiem, gdy uzyska się ją [tj. taką wolność] od Pana, nic ma takiego niewolnika, który nie zaryzykowałby wszystkiego, aby wykupić siebie i powrócić do swojego kraju. A ponieważ to jest prawdziwa droga, nie ma co zatrzymywać się na niej, albowiem tak długo nie skończymy zdobywania tak wielkiego skarbu, aż nie zakończy się to nasze życie<sup>3</sup>.

Inaczej mówiąc, „narażanie życia” rozumiała ona nie na sposób nieodpowiedzialnego ryzykanctwa dzisiejszych miłośników doznań ekstremalnych, lecz w sensie ewangelicznym: ryzykować życie to znaczy oderwać się od siebie i przywrzeć do Boga tak bardzo, by aż „utracić swoje życie” w Jego służbie, na koniec zaś je odzyskać jako radość i życie wieczne (zob. MT 16,25; MK 8,35; ŁK 9,24; J 12,25). Właśnie stąd płynie głęboki pokój i odpoczynek.

Bardziej jednak prozaicznie, w powszednim życiu, to, co pozwala odpocząć, różni się jeszcze od tego, co obmywa, dotlenia, regeneruje.

<sup>3</sup> Teresa od Jezusa, *Dziela wszystkie*, t. 1, *Księga życia mojego (Autobiografia)*, 16, 8, przeł. D. Wandzioch, Flos Carmeli, Poznań 2007, s. 190. Por. tamże, 16, 7, s. 189–190; 20, 4, s. 222; 21, 4, s. 236; 34, 16, s. 387.

Oprócz normalnego zmęczenia i znużenia spowodowanego pracą, koniecznymi zajęciami, istnieje ślad odciskany przez niepożądane spotkania, kontakty, związki, wpływy, a jeszcze bardziej przez kłopotliwe czy wprost nieznośne poufałości, przeżycia lub obrazy. Przez pewien czas można się starać zapomnieć o zmęczeniu fizycznym i je przewyciężać. Nierozsądne jest natomiast obojętne uleganie naciskom, odchyleniom lub oddziaływaniom bezgłośnym, dyskretnym, prawie niezauważalnym, wskutek braku refleksji i dystansu względem tego, co się przeżywa. Wielu przywyka do działania w duchu zbiorowego naśladownictwa, myląc go z duchem wspólnoty.



Aby uniknąć wewnętrznego rozbicia, pozostać wiernym swojej głębokiej tożsamości i swojemu powołaniu, ustrzec jego sensu – koniecznie trzeba wydzielać sobie czas już nie tyle na wytchnienie, ile na wycofanie się, które pozwala odnaleźć świętą wolność dziecka Bożego, jasność spojrzenia i zapal do życia. Nie chodzi o to, żeby „popuścić cugli” lub oddawać się temu, na co przyjdzie ochota – lecz o to, żeby trwać w gotowości na odnowę sprawianą przez Ducha Świętego, zamiast tkwić w zniewoleniu swoją wielką produktywnością i zadaniami (które nigdy się nie kończą). Wiąże się to z ryzykiem: ustąpić i scedować na inne osoby wybór prowadzenia społeczeństwa w tym kierunku oraz ocknięcia się dopiero w punkcie bez odwrotu. Tym właśnie sposobem stajemy się współodpowiedzialni za swego

rodzaju dehumanizację, gdy zaprzeczamy własnym ograniczeniom i słabościom, postępując tak, jakby obca nam była wszelka delikatność i wrażliwość. W rezultacie trudno mieć wzgląd na delikatność i wrażliwość innych ludzi, solidaryzować się z nimi szczerze i okazywać im miłosierdzie – pomimo słownych zapewnień, które zapamiętaliśmy wygłaszamy.



Zastanawiam się nad tym, czy nie stąd wyrasta wzajemne niezrozumienie różnych typów powołania w Kościele (zjawisko to dziwi, wszystkie one bowiem pochodzą od jednego Ducha Świętego). Nieprzeznaczenie czasu na wdzięczność za dar tego, kim jesteśmy, sprawia, że utwierdzamy się w poczuciu wyższości i patrzymy na drugiego jak na kogoś, kto się myli, ponieważ nie otrzymał tej samej łaski, co my, to znaczy tej jedynej, którą rozumiemy. Tymczasem powinno się spontanicznie darzyć drugiego miłością z tej racji, że został stworzony przez Boga; taką spontaniczną miłość buduje się przez nieustanne praktykowanie dziękczynienia, a nawet jak najstosowniejsze wyrażanie wdzięczności. Na tym również polega jedna z funkcji i powinności kontemplatyków, jedna z dróg ich oddziaływania w Kościele i świecie. Wdzięczność odniesiona do Boga różni się znacznie od układności i uprzejmości, które w najgorszym wypadku bywają powierzchowne i oportunistyczne. Ograniczać swoją aktywność do ścisłego zakresu kompetencji ze swojej dziedziny, oddawać się jej bez reszty

i nie wyściubiać z niej nosa, patrząc z góry na cały świat z tej wieży z kości słoniowej – to pułapka, która więzi i odcina od ludzi.

W pułapkę może się też przerodzić poczucie odpowiedzialności u osób wielkodusznie się udzielających i stale gotowych wychodzić naprzeciw potrzebom bliźnich. Wiąże się z tym ryzyko postępowania według cudzej woli zamiast woli Bożej połączonej z samopoznaniem. W tym również tkwi zasadzka pychy: „Podczas gdy inni sobie odpoczywają, ja nie ustaję w działaniu”.

W rezultacie można stać się człowiekiem, który się wynosi ponad los, ponad zbiorowe przeznaczenie, i nie wie, że ta fałszywa radość z czasem go opuści. W rzeczywistości człowiek taki potrafi tylko „zrobić”, a nie umie już być: jego wnętrzu leży odłogiem, jak u wielu naszych współczesnych; stąd kryzysy wieku średniego. Moim zdaniem więcej odwagi i pokory wymaga przyznanie, że potrzebujemy zadbać o siebie, chociażby po to, aby móc dawać to, czego naprawdę potrzeba.

Odpoczynek to sprawa konieczna, tak samo jak wycofanie się, które oczyszcza i uwalnia. Możliwość taką daje mi liturgia. Ze swoimi cyklami i celebracją tajemnic Bożych, śpiewem modlitw, dbałością o piękno i autentyczne skupienie staje się ona istotnym czynnikiem równowagi i głębokiego sensu, przyczyniając się wydatnie do wewnętrznego pokoju. Rzecz jasna, staranne przygotowanie liturgii wymaga pracy, tak samo jak przyozdobienie i należyte utrzymanie kaplicy. W moim przypadku

kosztuje to naprawdę dużo wysiłku, posuniętego aż do akrobacji, ponieważ często trzeba się wspinać na dach i naprawiać uszczelnienie. Gdy jednak nabędzie się pewnego nawyku, a więc sprawności w liturgii, wtedy można się poddać tajemniczej odnowie, która się przez nią dokonuje. Liturgia sprowadza człowieka na właściwe mu miejsce. Włącza się ona w dynamikę, która go ogarnia i przekracza – dynamikę życia nieprzerwanie odnawianego i zarazem ugruntowanego na niezmiennym, wieki-istym Bogu, który stale pozostaje ten sam, nie podlegając żadnym zmianom (zob. JK 1,17).

Oczywiście może się zrodzić elitarystyczna duma – najczęściej nieświadoma – z przeżywania pięknej liturgii. Ryzyko takie zostaje oszczędzone samotnikowi, o ile cechuje się on naturą prawą i wolną od udawania; pojedynczej osobie bowiem łatwiej się pomylić niż wspólnocie, która pilnuje się sama w swoich członkach i zapobiega niebezpieczeństwu błędu. Zdarzało mi się zastanawiać (przez oderwanie od Boga czy zwykłe ludzkie rozproszenie?), czy nie pominęłam hymnu *Magnificat* w nieszporach bądź *Modlitwy Pańskiej* w czasie jutrzni; po prostu nie pamiętałam. Przydarzały mi się różne błędy i pomyłki. Bardzo się tego wstydziłam, póki nie zaświtała mi myśl, że może to być większa łaska od zewnętrznego perfekcjonizmu, trącającego estetyzmem lub pychą nieskazitelności. Oczywiście wypada dawać z siebie to, co najlepsze, i starać się jak najgodniej uczcić Boga. Gdy jednak człowiek staje przed Nim w absolutnej samotności, grozi

mu podwójne niebezpieczeństwo: może sobie przypisywać nadmierne znaczenie oraz postrzegać najmniejsze nawet zakłócenia, najdrobniejsze przeciwności, jako walkę z siłami zła. Znałam pustelnika o trudnym charakterze; z biegiem czasu stał się on prawdziwym szaleńcem, gdyż ciągle zderzał się z rzeczywistością, która nie chciała uszanować jego uświęconego mniemania o sobie samym. Cała jego praca wewnętrzna polegała na przekonywaniu o tym innych.

Z upływem lat zauważyłam, że akceptacja własnej omyłności oraz niezważanie na siebie działają naprawdę wyzwalamo. Pozwalają oddalić podstępne zagrożenie polegające na tym, że człowiek uważa się za wybrańca, skoro zajmuje się wyłącznie Bogiem, upodobnia się tylko do Niego, odznacza się „wyjątkowością”. Uczestnictwo w zdrowej liturgii i jej praktykowanie odnowiło moją miłość do życia, odpowiadając na moje najgłębsze potrzeby, i wprowadziło mnie w sztukę życia, zgodnie z którą zajmuję swoje miejsce i nie szukam innego.

Owocne wycofanie się bywa też znacznie bardziej prozaiczne od liturgii (spacery, sport, sztuka...?). To żaden wstyd zrobić sobie pauzę w rutynie na kilka lat albo krótszy okres; dzięki temu można bowiem zażegnać kryzys lub ominąć przepaść, która się pod nami rozwiera. Tego typu praktyki pozwalają nabrać dystansu, oswobodzić świadomość, wyostrzyć postrzeganie rzeczywistości, uwolnić się od nacisków, które niepostrzeżenie gaszą zapał i radość życia. Podejście „czysto duchowe”, któremu przyświecają

dobre intencje, może się okazać pułapką uruchamiającą postawy na wskroś ludzkie, ukryte za parawanem perfekcjonizmu. Zgodnie z zaleceniem Chrystusa należy umiejętnie zachowywać równowagę i oddawać cesarowi to, co cesarskie, Bogu zaś to, co należy do Boga (zob. MT 22,21; MK 12,17; ŁK 20,25).



W rzeczywistości tym, co prawdziwie i w pełni odbudowuje, jest osobista, długotrwała więź z osobą Chrystusa, możliwie najgłębsze zanurzenie się w tajemnicę Boga, zwłaszcza Boga Trójjedynego. Trwanie w tej wspólnocie miłości i pozwalanie na jej rozwój w nas – to najbardziej ożywczy powrót do źródła. Nieustające odwzajemnianie miłości i pełnia wzajemnego się obdarowywania – to jedyne doświadczenie, które zaspokaja w sposób rzeczywisty i niecofniony. Kto tego zaznał, ten wie o tym i został przez to przemieniony na zawsze; kto się przekonał o kruchości ludzkich podpór, o marności zabezpieczeń, którymi się bezwiednie osłaniamy, ten odkrywa ową rzeczywistość i w niej żyje.

Miłość Boga Ojca do człowieka, miłość Jezusa Chrystusa do braci, uświęcająca miłość Ducha Świętego: każda z nich to miłość święta. Nic nie pozwala lepiej odpocząć niż miłość kryształowo czysta, mocna i łagodna, wiekuiście wierna i wciąż nowa, głęboka i bezinteresowna.

Tą właśnie miłością żyją pustelnicy oraz wszystkie osoby konsekrowane bądź poświęcone Bogu w czystości. Jeśli

tylko umieją trwać w tej więzi, miłość Boża im wystarcza i daje im zaspokojenie, albowiem leży ona u podstaw wszelkich odmian miłości ludzkiej: małżeńskiej, rodzinnej, przyjacielskiej... Eremita i osoba konsekrowana zostają powołani do tego, by podążać pod prąd wielkiej rzeki miłości i nabierać z samego jej Źródła. To nie oznacza, że inne rodzaje miłości zasługują na wzgardę; wręcz przeciwnie – właśnie czerpiąc wprost z miłości Bożej, ludzie zyskują wszelkie szanse na udane i trwałe pożycie małżeńskie. To samo dotyczy przyjaźni. W tej bowiem miłości Bożej wszystkie wstrząsy innych rodzajów miłości zostają złagodzone, a zasady – ominięte. W ten również sposób inne typy miłości stają się przygotowaniem do tej ostatecznej, która nas oczekuje po śmierci.

Dzięki życiu duchowemu, nadprzyrodzonemu stajemy się „uczestnikami Boskiej natury” (2 P 1,4); to znaczy, że jego twórca nakazuje nam żyć samym swoim życiem. Jeżeli zatem Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty udzielają nam życia nadprzyrodzonego, oczywistym jest, że czynią to w tym celu, abyśmy do Nich powrócili – aby nasze życie w Nich trwało. Chrześcijanie, którzy nie żyją stale zwróceniu ku Trójcy Przenajświętszej, zapomnieli o tym, że otrzymali chrzest w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego<sup>4</sup>.

<sup>4</sup> D.-J. Lallement, *Dociles à l'Esprit qui scrute les profondeurs de Dieu*, P. Téqui, Paris 1996.

Możemy odnawiać swoje siły pomimo najdotkliwszych cierpień lub przeciwności, wglębiając się w tę wspólnotę miłości, którą stanowi Trójca Przenajświętsza. Ten ocean odpocznienia w środku burzy pozwala spokojnie utrzymywać kurs, nawet jeżeli nasze ciało i psychika doznają wstrząsów. W ten właśnie sposób możemy znaleźć wytchnienie w toku najbardziej ożywionego działania, tak samo jak trwać w głębokim spokoju pośród doświadczeń, najgorszych przeciwności.

Również dzięki ukryciu się w tajemnicy Boga, wspólnocie miłości trynitarnej, eremita może pozostawać nieprzerwanie albo prawie nieprzerwanie zamknięty w swojej pustelni, ograniczając do minimum chwile odpoczynku lub okazji do wyjścia i nie czując wyczerpania z tej przyczyny. Właśnie to błogosławione ukrycie się zapewnia mu stabilność, trwanie w samotności.

Oczywiste jest, że taka harmonijna więź z Trójcą Przenajświętszą, zwiastująca wieczną szczęśliwość i głęboko odbudowująca, odtwarzająca w istotnym sensie tego słowa, nie rozwija się z dnia na dzień. Zakłada ona pełny, całkowity dar z siebie oraz zgodę na poddanie się przemianom przez Boga i w Boga, jakkolwiek wymagające może się to okazać. Ta praca trwa przez całe życie, a jej etapy zostały bardzo trafnie opisane w wyznaniach duchowych, zwłaszcza św. Teresy z Ávili i św. Jana od Krzyża. Skoro jednak celem naszego życia duchowego jest Trójca Przenajświętsza, w której będziemy żyli na wieki wieków, to może warto się do tego przygotować. Niektórzy zostali nawet powołani do

zaznania jakiejś formy tego szczęścia już w życiu doczesnym i w ten sposób zaświadczać, że Trójca to nie jest jakiś szczegółowy punkt doktryny ani wymysł teologów, lecz najbardziej fundamentalna Rzeczywistość.

Siostra Catherine to odważna i oddana otrzymanemu powołaniu kobieta. Tutaj dzieli się codziennością eremitki żyjącej w trudno dostępnej alpejskiej chacie. Pisze o kontakcie z surowym pięknem natury, o znaczeniu Trójcy Świętej – która przenika jej życie dzień po dniu. Opowiada o roli Pisma Świętego, modlitwy brewiarzowej i nieustannej, o świętości Kościoła. Daje przykład wiary przemyślanej, zdrowej i osadzonej w rzeczywistości. Niczego nie upiększa. Jej świadectwo jest szczerze i głęboko ludzkie.

Cena det. **49,90 zł**

ISBN 978-83-7906-896-8



9 788379 068968



wdrodze.pl

Patronat medialny:

wdrodze  
miesięcznik

idziemy

PRZEMOŚNIK  
KATOLICKI

dominikanie.pl

wiara.pl

misyjne.pl

Aleteia.pl

NAJWIĘKSZA  
NADZIEJA

DDA

MAUS  
klub radio